

Miasto duchów

Z Krzysztofem Rutkowskim rozmawia

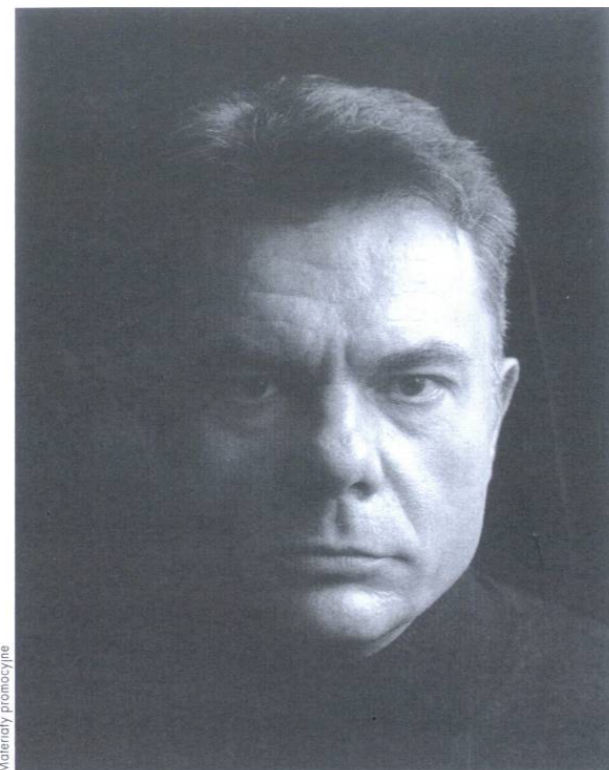
Mateusz Kaczyński

W Warszawskich pasażach pisze Pan o Kamionku i Grochowie. Wrócił Pan z Paryża na stare śmieci czy do nowego miasta?

Wróciłem do zupełnie nowego miejsca. Przez blisko 30 lat byłem mieszkańcem Warszawy, po czym około trzydziestki wyjechałem do Paryża i tam spędziłem 33 lata, a więc większą część mojego życia. Urodziłem się na Woli, ale mieszkalem w Śródmieściu przy Konopczyńskiego – małej uliczce odchodzącej od Tamki. Do szkoły chodziłem na ul. Świętokrzyską 1, czyli tuż obok. W Teatrze Wielkim pracowała jako szatniarka moja mama – kiedy byłem chłopakiem, miałem ogromny przywilej być prawie każdego wieczoru w operze. Przemykałem się na spektakle, wpuszczali mnie znajomi bileterzy. Znałem na pamięć cały repertuar Teatru Wielkiego z przełomu lat 60. i 70. Obszar Warszawy mojej młodości to zatem środek Śródmieścia: okolice Tamki, Nowego Świata, Krakowskiego Przedmieścia... Drugi kraniec mojego kręgu był w okolicach Łazienek Królewskich. Tam kończyła się dla mnie Warszawa.

Po 33 latach pobytu w Paryżu doszliśmy z moim przyjacielem Jerzym Axerem do wniosku, że trzeba zrobić skok w nieznaną. Zaczęłem szukać mieszkania w Warszawie. Tego, w którym mieszkalem pierwotnie, dawno już nie ma. Okazało się, że w Warszawie nie tak łatwo znaleźć lokum w przystępnej cenie. Małutkie mieszkania w okolicach, w których spędziłem młodość, były poza moim zasięgiem finansowym. Zaczęłem więc pytać znajomych i zadzwoniła moja przyjaciółka, Monika Stachura, córka młodszego brata Edwarda Stachury. Jak wiadomo, łączą mnie z Edwardem Stachurą najrozmaitsze więzy duchowe, nie tylko dlatego, że się znaliśmy. Odwiedziłem mieszkanie należące do zmarłej przyjaciółki Moniki Stachury. Kiedy tylko tam wszedłem, poczułem, że to mieszkanie dla mnie. Chyba czuwał nade mną duch Edwarda, bo to bardzo ciekawe mieszkanie. Jest na siódmym piętrze jednego z budynków osiedla Sonata. Ma ogromny balkon z widokiem na miasto, m.in. na park Skaryszewski. Cały. Wielkie niebo, gwiazdy wieczorem, a chmury i błękit w ciągu dnia. Tam mieszkam od ośmiu lat.

Podczas spacerów po Paryżu nawiązuje Pan do Waltera Benjamina i jego wędrówek po zakamarkach miasta. Jak jest z tymi pasażami w Warszawie? Są czy ich nie ma?



Krzysztof Rutkowski

Przestrzeń Warszawy jest zupełnie inna niż przestrzeń Paryża, to oczywiste. Najpierw zostawiłem Warszawę Śródmieścia, później pojechałem do Paryża, który jest moim miastem, teraz po powrocie znalazłem się w trzecim mieście, na prawym brzegu Wisły, którego kompletnie nie znałem. Mieszkam na Grochowie, na Pradze-Południe, czyli w całkowicie nieznanym mi czasoprzestrzeni. To nie jest tak, że wróciłem do Warszawy – ja tylko w pewnym sensie znalazłem się tu z powrotem.

Warszawa zaczęła mnie dziwić, „sycić w zdumieniu”, jak powiedziałby Białoszewski, ale na zupełnie innych zasadach niż Paryż albo Warszawa lewobrzeżna z czasów mojej młodości. Nagle zacząłem odkrywać prawobrzeżną Warszawę – Grochów i Kamionek – jako przestrzeń przedziwną, którą zamieszkują duchy. Różne i na wielu poziomach.

W jaki sposób wydobywa Pan ukryte znaczenia z pozornie zwykłych spotkań? Za przykład niech posłużą napotkani przez Pana „trzej królowie”, czyli pijaczkowie spod krzyża na Mińskiej, albo Dionizos mieszkający w ciele kloszarda.

Kieruję się silną pamięcią o Walterze Benjaminie i jego myśleniem o Paryżu. Różne studzienki ściekowe czy zejścia do kanałów postrzegał jako wrota do Hadesu, do podziemnego świata. Zaskoczyło mnie, że podobnie jest w Warszawie. Tu wejścia do podziemnego świata to walące się domy z zamurowanymi oknami i tajemniczymi drzwiami czy nieustannie otwarte sklepy alkoholowe. Przestrzeń tę zamieszkują rozmaite postaci. Spotkałem przedziwnych bogów, bachantki i satyrów. Pewnego razu przechodziłem przez ulicę Grochowską i zmierzałem w kierunku Mińskiej. Szedł ku mnie człowiek. Nadchodził właśnie od krzyża w przesmyku, wyglądał na miejscowego menela. Nie brak takich,

ale menel to mój kolega. Jak wiadomo, bogowie mogą w różnych szatach chodzić i różne kształty przybierać. Nie trzeba znać starych mistrzów czy mitologii, by to wiedzieć, wystarczy czytać Tolkiena. I ten człowiek szedł ku mnie, a ja ku niemu. Nasze spotkanie było nieuchronne i normalne w tej sytuacji. Byłem przekonany, że powie do mnie: „panie”, „ziomku” albo „mistrzu”...

...królu złoty, daj piątkę na piwo.

Tak, myślałem, że będzie prosił o parę groszy. A on podchodzi, patrzy na mnie i pyta: „Panie, niech mi pan powie, co to jest prawda”. Byłem zupełnie zaskoczony. Oczekiwałem pytania, ale nie takiego. W okolicy, w której zamieszkałem, czuję obecność wielu czasów. Kłębiącą się wielość przestrzeni. Byłem zaskoczony pytaniem, ale nie jego rodzajem. Menel patrzył na mnie uważnie i czekał, co mu odpowiem. A pytanie było trudne, bo niejasne. Nagle znalazłem się na placu w Jerozolimie i miałem przed sobą kogoś, kto był wcieleniem Poncjusza Piłata, a bliskość krzyża była nie bez powodu. Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę, że jest on bardzo tajemniczy.

Krzyż na Mińskiej stoi na rozdrożu.

Tak jak powinny stać krzyże. Jest na nim obraz Matki Boskiej, są różne wota. Pod krzyżem płoną znicze i są kwiaty: sztuczne i niesztuczne. Niech pan jednak zauważy, że do krzyża przybite są także znaki szamańskie: pióra i kości. Dlaczego na krzyżu, który stoi na rogu Bliskiej i Mińskiej, są takie symbole? Nie wiem, ale – ponownie – nie dziwi mnie, że tam są.

Przestrzeń, o której Pan pisze, faktycznie ma w sobie coś nieodgadnionego. Stoi tam kościół Matki Boskiej Zwycięskiej – jedna z najstarszych świątyń prawobrzeżnej Warszawy. Są także dwa cmentarze, w tym nieistniejący staroobrzędowców...

Właściwie nadal jest, bo cmentarz ten ma różne warstwy. Od XII do XVIII w. zdążyło się ich nazbierać. Aleją Wedla przechodzą duchy. Słyszę, jak się nawołują. I to wcale nie tak, że słyszę te głosy, bo jestem pijany. Jestem pijany, bo słyszę te głosy. To jest właśnie przedziwna czasoprzestrzeń. Mam też swoją dżunglę. Wystarczy pójść dalej Bliską do Dworca Wschodniego. Są tam przedziwne zarośla, a w nich ruinki. Nie chcę wiedzieć czego. Mówię sobie, że to świątynie: pogańskie lub nie. W tych krzakach siedzą ludzie i piją albo tańczą. Odprawiają nieznaną obrzędowość... Ktoś pomyśli, że wymyślam historie i nakładam literaturę na takie tematy jak pijacy w krzakach. Ale oni są nie tylko pijakami, którzy siedzą w krzakach i piją. Dla mnie to oczywiste. W ten sposób przemawia do mnie przestrzeń. Warszawa, zwłaszcza prawobrzeżna, niesamowicie szybko się aktualizuje. Czasy zawijają się tam

niepostrzeżenie. Staje się miastem widm i miastem cieni. Miastem, które bulgocze w podziemiach, z kanałów. Dzisiaj jest 1 sierpnia, 74. rocznica wybuchu Powstania Warszawskiego, więc to bulgotanie słysząc głośniej.

Wychodzi na powierzchnię. Paryskie pasáže są zbiorem szkiców, które ukazywały się „Gazecie Wyborczej”.

Ukazały się ich cztery tomy. Ale teksty do „Gazety Wyborczej” są tylko punktem wyjścia. Książki to osobna konstrukcja. Zbudowałem z nich odrębną całość.

Kontrapunktem dla nich są Warszawskie pasáže. Ile czasu zajęło Panu ich napisanie?

Opisuję w nich wydarzenia z czterech lat. Przyjechałem do Warszawy w zimie 2010 r., by wraz z moimi znajomymi współtworzyć to, co przekształciło się w wydział Artes Liberales. Zaraz po tym mój kolega Jacek Kopciński spytał mnie, czy mógłbym pisać do miesięcznika „Teatr”. Nie jak do gazety – co tydzień – ale raz na miesiąc. Zgodziłem się i postanowiłem nazwać mój cykl *Warszawskie pasáže*. Felietony powstawały od 2011 r. Potem stwierdziłem, że zrobię książkę. Ma ona bardzo przemyślaną konstrukcję, wygląda tak, jak chciałem, by wyglądała.

Jej osią jest z pewnością chodzenie. Czy jest ono dla Pana równoznaczne z pisaniem?

Nie jest równoznaczne. Chodzić nauczyłem się w Paryżu, on był dla mnie inspiracją. Oczywiście, tkwi w tym wszystkim pamięć Benjamina i przemyślenia *flaneura*, czyli włóczęgi paryskiego. *Flaneur* to figura, która wcielała się w konkretne historyczne postaci, ale to także sposób bycia człowieka, który włóczy się po mieście. W szczególności po Paryżu, który jest miastem do tego stworzonym. Tylko tam mogła powstać postać *flaneura*; odegrała ona niesłychanie ważną rolę literacką i kulturową. Wcieliłem w siebie *flaneura* nie dlatego, że nazywałem się Benjamina i różnych autorów, ale dlatego, że sam to przeżyłem. Własnym ciałem i własną duszą odczułem, co znaczy Paryż jako miejsce do chodzenia. Mieszkalem tam ponad 30 lat i wiem, że nie jest tak, że to ty decydujesz, dokąd pójdziesz. To miasto decyduje. Musisz dokonać jednego wyboru.

Mianowicie?

Wychodzisz i skręcasz albo w prawo, albo w lewo. A reszta w dużym stopniu już nie od ciebie zależy. Przestrzeń cię wciąga. Przestrzeń ładuje w ciebie czas. Chodząc, ładujesz się czasem, znakami i znaczeniami. I nie wiesz, dlaczego idziesz tędy. Oczywiście możesz chodzić ustaloną trasą, ale wtedy uprawiasz turystykę. Chodzisz po Paryżu w jakimś celu. Moje *flaneurowanie* po mieście nad Sekwaną wynikało z tego, że podejmowałem tylko jedną decyzję: wyjść

z mieszkania i skręcić z mojej ulicy albo w lewo, albo w prawo. Reszta nie zależała ode mnie. Szedłem i byłem wciągany przez miasto. Wychodziłem na zew przygodzie. W tym sensie moje chodzenie było moim pisaniem. Potem przepisywałem przygodę, która mi się zdarzyła. Przepowiadałem ją przez znaki i słowa, ale dopiero później. Na początku tworzyła się, kiedy chodziłem. W Warszawie jest inaczej.

Czy pokusiłby się Pan o znalezienie warszawskiego odpowiednika paryskiego *flaneura*?

Nie, to niemożliwe. Moje doświadczenie z Warszawą jest doświadczeniem zupełnie innego rodzaju. Nie odczuwam ani prawobrzeżnej, ani lewobrzeżnej Warszawy jako swojej przestrzeni. Nie odnajduję Śródmieścia mojej młodości, Pragi też nie znam. Spotykam się z obcością, która mnie zaskakuje. Paryż był zawsze mój, od pierwszego momentu, w którym się tam znalazłem, i zawsze będzie mój aż do końca moich dni. Warszawa jest nieciągła. Poznaje ją jako obcą przestrzeń, która mnie zaskakuje w inny sposób, np. wychodzeniem duchów, zjawianiem się. Paryż był przestrzenią, po której włóczenie syciło mnie zdumieniem. Warszawa robi to punktowo. To miasto nieciągłe, rwane. Mówiąc jeszcze inaczej, Warszawa jest dla mnie jak szwajcarski ser z dziurami. Obca, ale z dziur co chwila wyskakuje coś niespodziewanego. Warszawa nie jest moja. Mam w niej swoje miejsca, do których dążę. Pozwalają mi oswoić obcość. Ulica Bliska, park Skaryszewski, siedziba Artes

Liberales przy Dobrej... Pomiędzy nimi jest obcość, a ja jestem w nich. Dla przykładu: dzisiaj rozmawiamy przed gmachem Muzeum Narodowego – to miejsce, które dobrze znam, ale tak naprawdę to nie jest miejsce, które dobrze znam, ale miejsce, pod którym kryją się miejsca, które dobrze znam.

Odczuwa Pan niepokój, że zmiany zaszły tak daleko?

Tak. I jest to dziwny niepokój. Obcość, którą staram się przezwyciężyć punktowymi spotkaniami z czymś, co nagle okazuje się zaskakująco bliskie. To, co zaskakująco bliskie, jest bliskie dlatego, że właśnie oto z kanału czy ze studzienki, spod krzyża, z tej dżungli koło Dworca Wschodniego wychodzą do mnie postaci ludzi, bogów albo demonów sprzed lat. W Warszawie rozmawiam z duchami. W Paryżu rozmawiałem ze znakami.

Co musiałby Pan zrobić, aby w Warszawie porozmawiać z żywymi?

To, co do tej pory. Wychodzić i czekać, aż spotkam żywych, przez których mówi głos sprzed stuleci.

Krzysztof Rutkowski, *Warszawskie pasáže*,
Słowo / obraz terytoria, Warszawa 2018

